

Michele Houellebecq: * Uległość * czyli ustepliwość czy upadłość?

Właściwie jestem przeciwniczką wypowiedzianą się na temat, którego się nie zgłębiło. Tym razem jednak zrobię wyjątek. Wypowiem się na temat najnowszej książki Houellebecq, mimo że jej nie czytałam i nawet nie wiem, czy przeczytam, bo kolejkę mam długą, a życie coraz krótsze [1].

Wypowiem się o książce na podstawie recenzji Justyny Sobolewskiej w aktualnej Polityce (nr 36, 2.9.15) zatytułowanej "Aksamitna rewolucja". Zmiksuję to z drugim artykułem z tej samej Polityki, reportażem Olgi Gitkiewicz "Chodźmy na rynek". Jest to tekst o wyludnionych rynkach w niegdysiejszych miastach wojewódzkich, w czasach, gdy województw było 49, dziś zdegradowanych za to o odpicowanych rynkach z unijnych dotacji.

Niby skąd ta dziwna hybryda? Książka Houellebecq a martwe rynki Łomży, Włocławka, Skierniewic...? Co ma piernik do wiatraka?... Otóż ma, bo bez mąki nie ma piernika. A bez młyna mąki.

Książka Houellebecq we Francji miała premierę na początku stycznia 2015 roku, a dokładniej 7 stycznia 2015, i w oryginale nosi tytuł "Soumission". Teraz ukazała się w polskim przetłumaczeniu Beaty Geppert jako "Uległość". Zajawka w Polityce mówi:

Zislamizowana Europa ignorująca prawa kobiet? W swej najnowszej, wydanej właśnie po polsku powieści, Michel Houellebecq tworzy alternatywną wizję przyszłości. Jest jak u Orwella, tyle że przyjemniej. I tym bardziej jest to wizja przerażająca.

Jednym słowem końca świata ani na styku tysiącleci, ani 21.12.2012 nie było, za to będzie koniec naszej cywilizacji. Taka prognoza. W związku z ukazaniem się książki na styczniowej okładce Charlie Hebdo była taka karykatura: Houellebecq w czapeczce wróza wróży: "w 2015 stracę zęby, w 2022 będę świętował ramadan".

7 stycznia 2015 roku miał miejsce terrorystyczny zamach na redakcję Charlie Hebdo. Zginęło 12 osób, dziennikarzy, redaktorów, satyryków pisma. Był wśród nich przyjaciel Houellebecq, ekonomista Bernard Maris, który opublikował kilka miesięcy wcześniej esej „Houellebecq économiste”.

Pisarz uciekł z Paryża a książka czytana była już w zupełnie innej Francji. Nie ma potrzeby dodawać, że stała się bestsellerem. Najpierw w swojej ojczyźnie i zaraz potem w Niemczech. Pod tytułem "Unterwerfung" (po angielsku ukaże się dopiero teraz, tytuł "Submission").

Oryginalny tytuł "Soumission" jest nawiązaniem do poddania się/posłuszeństwa wobec woli Allaha, jak nakazuje Koran. Wybór więc słowa "Uległość" w miejsce "Soumission" jest właściwie nieporozumieniem, powinno być "poddanie" lub "posłuszeństwo". Ale może znaczyć też "uległość" w sensie ulegania wyznawcom Allaha i wtedy chodzi o coś innego niż "poddanie".

Rzecz dzieje się we Francji roku 2022. Właśnie wybrano na prezydenta Mohammeda Ben Abbasa, nic, że muzułmanina, ważne, że do władzy udało się nie dopuścić Marine Le Pen (à la: "nie mam faworyta, ale głosuję na PO, żeby do władzy nie doszedł PiS").

Prezydent-muzułmanin z (fikcyjnej póki co) partii Bractwo Muzułmańskie wprowadza oczywiście swoje standardy: islam, szariat, ramadan itd. itp. Kobiety mają zakrywać twarze, nie kształcić się, nie pracować, siedzieć w domu, rodzić dzieci i gotować dla rodziny, z życia publicznego znikają.

Z miejsca zarzucono autorowi islamofobię z drugiej zaś strony antyfeminizm, ale tak naprawdę to, jak rozumiem,

jest krytyka francuskiej politycznej uległości, poprawności politycznej w kontekście muzułmanów.

Książka pierwotnie miała nosić tytuł "Conversion" ("Konwersja"), a nawrócić - na katolicyzm - miał się jej główny bohater, czyli autor, bo książka napisana jest w pierwszej osobie. Jeśli uświadomić sobie, że matka pisarza przeszła przed śmiercią na... islam, a syn i ona, jeśli wierzyć mediom, nienawidzili się, przejście na katolicyzm w sensie ostentacyjnego przeciwstawienia się matce jest bardziej zrozumiałe [2].

Gdyby bohater "Uległości" faktycznie przeszedł na katolicyzm (Francja katolicka to przecież była Pierwsza Córa Kościoła), postulowałby tworzenie oporu wobec islamu utwierdzeniem się w chrześcijaństwie. Ale zrobił wolnę i w trakcie pisania zrezygnował z tego pomysłu (i tytułu).

Zgłębiając temat (czytając Koran) doszedł do wniosku, że islam jest lepszy, niż jego reputacja: *"Ale w sumie Koran okazał się dużo lepszy, niż myślałem, gdy zacząłem go czytać. Przede wszystkim okazuje się, że dżihadyści są złymi muzułmanami, a pełna agresji święta wojna nie jest dozwolona. Więc w sumie możecie powiedzieć, że [na temat islamu] zmieniłem zdanie."* Bo przedtem głosił, że *"islam to najgłupsza religia świata"*.

Wytoczono mu proces o szerzenie islamofobii i rasizm, ale wygrał go, trybunał paryski orzekł, że jego wypowiedź była dozwoloną krytyką religii i nie zawierała obrazy muzułmanów, a krytyka religii to nie nienawiść rasowa, bo z wiary można wystąpić, z "rasy" - nie.

Prognoza Houellebecqa jest właściwie linearnym rozwinięciem aktualnych obaw i lęków. Coś jak XVIII-wieczna przepowiednia, że wobec rosnącej liczby pojazdów konnych miasta utoną w końskich odchodach, lub XIX-wiecznej, że świat będzie jednym wielkim torowiskiem, tyle pociągów będzie jeździć po powierzchni ziemi.

To nie jest uwzględnianie wielości czynników kształtujących przyszłość, nie ma też przewidywania czegoś nowego, aktualnie nieznanego, to tylko świat współczesny w wersji doprowadzonych do wymiarów monstrualnych. Suma strachów.

Nie będę polemizować z futurologicznymi obrazkami Houellebecqa, tym bardziej, że nie znam przecież szczegółów. Nie roztoczę też własnych prognoz, bo choćby były najtrafniejsze, nie jestem w stanie tego udowodnić, czas by pokazał, ale nawet nie ma pewności, że dożyję roku 2022, żeby się przekonać i w przypadku przepowiedni trafionej powiedzieć: *"a nie mówiłam!"*.

*

Chcę zwrócić na coś innego uwagę: jak tak naprawdę wygląda ta nasza cywilizacja, która wydaje nam się tak doskonała, że wszelkie zmiany wydają się zbędne, a upadek katastrofą. I tu pora na przyjrzenie się naszym miasteczkom powiatowym, a w nich ich rynkom, do niedawna będących centrami życia społecznego.

Otóż na "kosmetykę" starych centr pieniądze popłynęły z Unii. Zarządy musiały temu sprostać, czyli mieć swój wkład, co najczęściej sprowadzało się do tego, że władze brały kredyty u jakichś Skoków, a mając wkład, mogły pretendować do dotacji unijnych. Pieniądze te przeznaczano na "rewitalizację" wybranych miejsc, czyli przede wszystkim rynków, rynekczków, centralnych placów targowych itd. itp. Oraz na wypłaty dla prezesów zarządzających pracami. Politykom podpisującym inwestycje zapewno też coś skapnęło.

Tym sposobem miasto się zadłużało, rynki zaś - ogołocone z drzew, jeśli rosły, bo trzeba było położyć piekielnie drogie płyty granitowe lub/i niemniej drogą kostkę - nabierały wyglądu kolorowej widokówki, fasady były liftingowane, zaplecza już niekoniecznie.

Jeśli dodać do tego, że życie mieszkańców i tak przenosiło się do rosnących jak grzyby po deszczu Biedronek, Lidlów czy Tesk na obrzeżach miast, w miejsce znikających sklepików, kiosków i knajpek niewytrzymujących konkurencji wielkich galerii wokół rynków, mamy do czynienia z nieorganicznym rozwojem miasteczek na koszt mieszkańców ale już nie na ich potrzeby.